

TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ LASEK

O jasny świat

(O ZAKŁADZIE DLA OCIEMNIAŁYCH W LASKACH)

WARSZAWA 1938 ROKU

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ LASEK

O jasny świat

(O ZAKŁADZIE DLA OCIEMNIAŁYCH W LASKACH)

WARSZAWA 1938 ROKU

Książeczka ta przeznaczona jest dla tych, którzy Lasek nie znają: może to najogólniejsze dotknięcie zagadnień, związanych z ociemniałymi, będzie zachętą do zbliżenia się do nich.

Książeczka ta przeznaczona jest również i dla tych, którzy Laski znają: może to podzielenie się z nimi wspólnie przeżytymi sprawami dać możliwość uświadomienia sobie, w czym możemy im pomóc.

Ale przede wszystkim książeczka ta poświęcona jest Ociemniałym w Laskach. Nie na to, by ją przeczytali, to nie jest im potrzebne. Ale by była ona wyrazem tego, w jaki sposób wyciągamy do nich rękę: z szacunkiem za ich wysiłek, sprawiający, że hartem ducha wypełniają swój brak fizyczny, i z poczuciem, że nasza żywa gotowość przyjscia im z pomocą jest tylko prostym naszym obowiązkiem.

Towarzystwo Przyjaciół Lasek

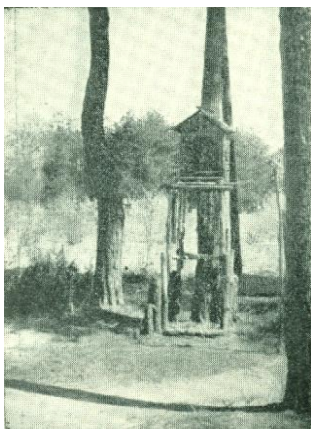


Las sosnowy – to jakby nowicjat, przez który trzeba przejść zanim się do tego dziwnego miejsca dojdzie.

Szarobrązowe i chropowate u dołu pnie sosnowe to zielenią się mchem, to srebrzą siwymi „brodami”. A tam gdzie konary się rozwidlają, ta szarobrązowa chropowatość przechodzi w jasną miękką brązowość, promieniejącą ciepłem w blasku słońca: jak gdyby przez te delikatne, w wielu miejscach oddłubujące się łuseczki przeświecał błysk rozpalonej żywicy – tej pachnącej krwi sosnowej.

Brązowe habity sosen – jakże one są kolorowe! Tak jak habity franciszkańskie: niby do siebie podobne a tak bogate w różnorodność życia.

Przechodzi się przez ten las sosnowy, jak przez nowicjat, wzwyczajając się do przyjęcia prawdy o bogactwie jednej barwy, – o bogactwie ubogiego habitu franciszkańskiego.



U skraju lasu, tam, gdzie się to dziwne miejsce zaczyna, stoi mała kapliczka, przystawiona do pnia sosnowego – niby drogowskaz z nazwą miejsca, dokąd wiedzie.

Mała kapliczka – jakby relikwiarzyk, zbity z sosnowych nie ostruganych patyków, postawiony na żywym ołtarzu lasu. A w głębi tego relikwiarzyka, za bukietem wciśniętym w szklankę ręką dziecinną, – płaskorzeźba miedziana: Chrystus pokazuje Swe serce umęczone.

Ten relikwiarzyk sosnowy to naprawdę drogowskaz z nazwą miejscowości, do której wchodzimy, drogowskaz z jej herbem, z jej nazwą, z jej hasłem.

Bo „przez krzyż – do nieba” to jest to hasło, które tu rzuca się przy powitaniu, to jest to Słowo, na którym buduje się życie tych, których tu ciężki ich krzyż zaprowadził.

Mały ociemniały
chłopczyk otwiera wielkie
ciężkie drzwi.
Zdecydowanym,
nieustępliwym ruchem to
małeńkie dziecko mocuje
się z tak ciężką dla
małych rączek klamką.
Ale on musi, koniecznie
musi otworzyć te drzwi
wielkie i ciężkie.

Wydaje się, że to
nie ociemniały Janek czy
Staś siłuje się oto przed
nami z tą klamką, ale że
mamy przed sobą każde Dziecko Ociemniałe, które
przyprawione przez czyjeś dobre ręce pod te drzwi życia,
mocuje się z nimi, bo instynkt mu mówi, że te oto drzwi
zaprowadzą go w świat, w którym będzie wreszcie pełnym
i wolnym człowiekiem.

Laski są dla ociemniałych takimi drzwiami.
Otworzyłyby się one same na oścież przed każdym
potrzebującym ich pomocy. Ale takie jest prawo życia, że
każde drzwi trzeba samemu z wysiłkiem otworzyć.
Zagadnienie Lasek to wszak dwojakie zagadnienie: dania
ociemniałym takich mocnych drzwi, które by ich
wprowadziły w świat pełny, wolny i prawdziwy.



I z drugiej strony wysiłek – jakże wielki! – tych dzieci czy ludzi, by te drzwi dla nich przygotowane otworzyć siłą swych utrudzonych rąk. Rąk, które pracować muszą – i za oczy.



Maleńki dzidzius odpoczywa po obiedzie. Małe pulchne rączki, ozdobione dołeczkami są mocno zaciśnięte jak rączki każdego dzidziusia we śnie. I noseczek mały zadarty tuż nad buzią półotwartą w dziobek i oczka mocno, słodko zaciśnięte – jakby miękką kołderką z rzęsek przykryte. Zwyczajnie: dzidzius słodko śpi.

Tylko, że ten dzidzius, gdy podniesie rzęski, gdy otworzy jasne oczka, nie dojrzy nachylonej nad sobą troskliwej twarzy opiekunki, ani jej ku niemu uśmiechu. Jego jasne oczka nie dojrzą nic spoza ciemności, przez którą będzie musiał przedzierać się przez całe życie.

Dziś nie wie jeszcze tego, że jego sny bezkształtne

i bezbarwne, że jego kroki brodzące w ciemności, to nie ogólne prawo życia, ale że to tylko jego – właśnie jego – krzyżowy los.

Dziś tego jeszcze nie wie, ale czeka go chwila, kiedy to zrozumie, chwila, kiedy będzie musiał tej prawdzie spojrzeć w oczy.

On tego jeszcze nie wie. Ale Laski o tym wiedzą i już teraz, jeszcze kiedy dzidzius śpi, pogrążony w swym beztroskim dzieciństwie, już teraz budują fortecę jego serca na miarę tego strasznego uderzenia, jakiego wkrótce dozna od życia.

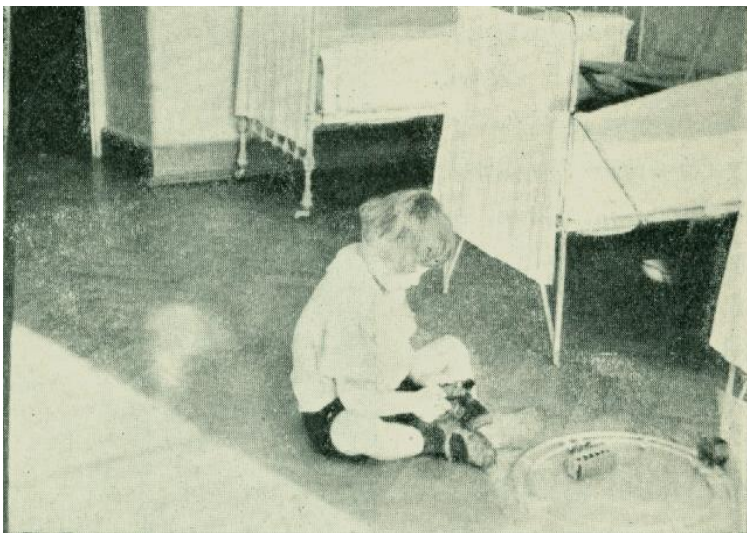
Jakże mocną fortecę muszą budować i jak umiejętnie, by nie ugięła się pod siłą tego ciosu.

Co za radość! Siostra przyniosła Zosi Misia. I on będzie jej własny! Dzieci z zosinego przedszkola mają różne zabawki, którymi można się bawić ile się chce, ale potem trzeba je odłożyć „na miejsce”. Ale to „miejsce” to jest jakaś obca, daleka półka, odgradzona od Zosi ciemnością! I trzeba do niej długo iść z wyciągniętymi naprzód rączkami.

Zabawka, odłożona „na miejsce”, oddala się od Zosi w dal ciemności, w dal obcości.

Ale ten miś będzie jej własny, będzie zawsze z Zosią, będzie z nią nawet spał, zawsze go Zosia będzie czuła swymi kochającymi go już paluszkami, zawsze będzie mogła utulić w swych ramionach tego swojego najlepszego przyjaciela, – jedyne, od którego nie dzieli jej żadna dal ciemności.





Staś ma jasne jedwabiste kędziorki. Mamusia przywożąc go do Zakładu, prosiła jako o rzecz dla niej tak ważną – bo aż łzy w oczach, mówiąc, miała, – by zostawiono mu jego kędziorki. Widać pragnęła, by choć kędziorki złote zostały na tej jej głowinie takie same jak dawniej, jak wtedy, gdy jeszcze twarzyczka nie miała wypalonych przez wypadek oczu. Więc Staś ma swoje złote kędziorki na główce. Staś, jak każdy chłopczyk ociemniały, nade wszystko lubi zabawki z nakręcaną sprężyną. Nakręca bez końca lokomotywę, stawia ją uważnie na szyny i nachylony nad ich okręgiem, stara się obu rączkami, przyłożonymi do zabawki, śledzić jej bieg. Nie nadążają rączki biegowi zabawki: – rączki choćby najbardziej sprawne, nie to co oczy, lot ptaka mogące wyścignąć. Ale choć trochę, choć maleńką chwilę raduje się tym oto ruchem, którego jest sprawcą, – cieszy się swą mocą działania.

Bo moc działania to czyste i mocne źródło radości.
Tylko, że to tak krótko rączki jego nadążyć mogą tej radości
serca...



Huśtawka to jedna z ulubieńszych zabaw niewidomego dziecka. I długie chwile może ono stać i czekać cierpliwie bez słowa protestu zanim przyjdzie na nie kolej huśtania się: bo dzieci w Zakładzie dużo, a huśtawek mało i trzeba czasem długo czekać na tę upragnioną zabawę.

Znają dzieci widzące czar huśtawki – oszałamiający urok pędu. Znają ten czar i wiele mają sposobności w swym życiu, by pić pełną piersią ten uroczny napój radości. Mogą wszak ganiać, łomocąc piętami o ziemię, mogą gnać na hulajnodze lub upędzać się na rowerach. Te tak istotne dla człowieka radości, jak czar zdobywania przestrzeni, urok wcielania się w pęd, zamknięte są dla ociemniałych. Cóż z tego, że połączonym wysiłkiem wychowawcy zakładowego

i dziecka staje się ono z biegiem czasu bardzo samodzielne i że w samodzielności tej przewyższa często równe sobie wiekiem dziecko widzące? Cóż z tego, kiedy poruszać się ono musi ostrożnie i powoli i niedostępny jest dla niego urok biegu, radość zwycięstwa nad przestrzenią.

A tymczasem dobroczynna huśtawka obejmuje swymi łaskawymi ramionami niewidome dziecko i niesie mu w darze to, co życie odeń zabrało: ten pęd beztroski, co odrzuca radośnie z czoła włosy i tamuje oddech jak samo szczęście – cudowny pęd, zwycięski pęd.

To prawda, że sznury co chwila szarpią w tył. Ale to trudno. Wszak zaraz wzleci dziecko znowu w górę! I znowu rozchylonymi w uśmiech ustami pić będzie ten upragniony czarowny pęd.





Własne grządki!

Co za radość palcami stwierdzać przybywanie nowych listków i delikatnie badać rozchylanie się pączka w kwiat. A co za uciecha móc wyrwać własną rzodkiewkę czy marchewkę, opielaną przez długie tygodnie z takim trudem – bo jakże trudno tylko palcami odróżnić, co jest chwastem, a co hodowaną roślinką – co za szczęście zanieść ją w podarunku komuś, kogo się bardzo kocha, a komu się nigdy nie miało co podarować.

A teraz Kazia i Jasia i Zosia mają własne warzywa i własne kwiaty i mogą z nimi robić, co tylko zechcą!

Wiosną delikatnie wsiady w łaskawą ziemię ziarenko i wyhodowały je, pieszcząc najtroskliwszymi

paluszkami, polewając z najczulszą uwagą, pieląc z uroczystym przejęciem.

Czy są jakieś kwiaty świata, które by tyle serca doznawały od ludzi, jak te, które wsiała w ziemię ręka niewidomego?

Tak rzadko niewidomy dopuszczany jest w życiu do tego, by siał i zbierał, że dobrze wie on, jaka słodycz mieści się w tych dwóch słowach – „siać”, „zbierać” – którymi tak rozrzutnie szafują widzący. I wdzięczny za tę słodycz, płaci za nią miłością do tego, co sieje, do tego, co zbiera.

Laski chcą dać swym wychowankom pełne garści przeróżnych ziaren i nauczyć ich siać je ku zbieraniu potem owoców. Chcą ich nauczyć, że czasem pod skupioną pracą palców wyrastają równie piękne



kwiaty i równie zdrowe owoce, jak pod wzrokiem widzącego. A czasem jeszcze piękniejsze, bo wzrok widzącego tak często, niestety, bywa roztargniony...

Dużo zwierząt hodują
dzieci w Laskach.

Bo Laski rozumieją,
czym dla dziecka
ociemniałego jest
opiekowanie się
zwierzętami. Dziecko to,
uważane w rodzinie za
niezdolne do
jakiegokolwiek zajęcia,
częstokroć kładzione na
stałe do łóżka, by nie
wymagało czyjegoś
zajmowania się nim, albo
zbyt przesadnie
obsługiwane, – dziecko
to, pozbawione w ten
sposób nie tylko wiary

w sobie ale i poczucia odpowiedzialności za swoje czyny –
tu nagle staje się czyimś opiekunem, musi kogoś obsłużyć,
musi za kogoś odpowiadać, musi wejść w czyjeś potrzeby
i im zadośćuczynić.

Zwierzęta, hodowane przez dzieci ociemniałe,
pomagają im swymi kosmatymi łapkami do otwarcia tych
ciężkich drzwi, jakie ociemniały musi zmocować, by
wkroczyć w świat prawdziwego życia, w świat, który dotąd
zdawał się dla dziecka tego zamknięty, świat, który
potrzebuje – jakież to szczęście! – jego pomocy.



Błogosławieni są dla dziecka ociemniałego ci przyjaciele o kosmatych łapkach. Toteż za ten dar królewski – możliwość rozciągnięcia nad nimi opieki – odwdzięcza się dziecko temu zwierzęciu gorącą miłością.



Szkoła chłopców i szkoła dziewcząt. Dwa wielkie, a wciąż coraz ciaśniejsze budynki, jasne, słoneczne, o pięknych korytarzach, o dużych salach sypialnych, o racjonalnie rozplanowanych klasach, które zadziwiają zwiedzającego dbałością uczni o estetykę wzrokową klas. Tak, jakby to nie były dzieci, które – nie widzą.

Gdy się człowiek zetknie ze stosunkiem dzieci ociemniałych do ich szkoły, widzi się, że ta szkoła jest ukochaniem dzieci niewidomych, ich szczęściem i warunkiem normalnego życia, niepomiernie większym niż dla dzieci widzących. Tu więcej jeszcze niż w innych działach Zakładu widzi się, jakie znaczenie dla dziecka ociemniałego ma mądrze ku niemu wyciągnięta dłoń opiekuncza człowieka widzącego,

jak niewspółmiernie więcej może ta ręka dać ociemniałemu niż widzącemu dziecku.

Bo dziecko widzące, w chaosie wrażeń łatwo mu dostępnych wiele z nich odrzuca, nie przyjmuje, odpycha, przeocza. I zwykliśmy dawać mu ich nadmiar, licząc się z tym, że tylko niektóre zakiełkują w duszy.

Zabawa, książki, nauka, radio, sport – to są te liczne drogi, którymi zmierzamy do naszych dzieci. I idziemy do nich jak myśliwi z naganką, wielu ścieżkami naraz ku nim zdążając, by ich dosięgnąć dla naszych celów. A oto wymykają się często.

Bo tysiąc i druga noc zdaje się im przynieść jeszcze piękniejszą bajkę.

Jakże inaczej jest z dziećmi ociemniałymi. Ich nie trzeba dopadać z naganką. One stoją przed nami z zamkniętymi oczami, ale z otwartą na oścież duszą, która jak najczulsza antena odbiorcza chwytą łapczywie każdy odgłos świata. I te odgłosy składają ton do tonu, chcąc z nich zbudować możliwie pełny obraz świata, który pragną kochać. A nie wiedzą dobrze, jaki jest...

Pismo Braille’a to dobrodziejstwo ociemniałej – jakże licznej – części ludzkości: wypukłe, bezbarwne punkty, niosące niewidomemu świat barw, linii, kształtów, – szara, sztywna karteczka, szeleszcząca ku niewidomemu wieści o bogactwach świata widzialnego. Książka dla ociemniałego!



Jest w psychice niewidomego coś z gospodarza ubogiego ale skrzętnego, który byle ziarno ceni jako coś, co może być zwielokrotnione, i byle włókienko składa na swój pusty warsztat tkacki.

Książka dla ociemniałego to wielokroć więcej niż książka dla przeciętnego widzącego.

Ale ileż smutku mieści się w tym „więcej”, które wyrosło z tak strasznego „mniej”. I ile męstwa mieści się w tym bohaterskim „więcej”, które tak nieustraszenie walczy z tym czarnym „mniej”.

Oni, ociemniali, walczą ze swą ciemnością przed oczyma, walczą dzień po dniu, godzina po godzinie, zbierając swymi utrudzonymi skrzętnymi palcami te biedne ziarna do ziaren.

A my, widzący, mogąc tyle najcenniejszych im ziaren podsunąć, czy to czynimy?



Proste i zwykłe są opowieści dzieci, które do Zakładu wróciły z wakacji, spędzanych w rodzinie. Ale jakże często te proste, zwykłe słowa na pozór lekkie i niewiele znaczące – jak to słowa dzieci – odsłaniają przeżycia, których ciężar gatunkowy trudny jest do udźwignięcia. Zwłaszcza dla serca dziecka.

Oto np. opowiadała jedna nieduża dziewczynka ociemniała, jak to rodzina nie chciała jej uwierzyć, że nauczyła się ona w Zakładzie pracować normalnie. I dalej – tak jak dawniej – nie dopuszczano jej do zajęć domowych, odsuwano od życia rodzinnego, omijano w rozrywkach, wciąż widząc

w niej tylko niedołączną kalekę, ale czyż mogło dziecko pogodzić się z powrotem do życia, z którego Zakład je wyzwolił? Musiała wszak dać im dowód, że oto może pracować jak inni, że może być normalnym, samodzielnym dzieckiem.

Umyśliła sobie na to sposób: oto co noc, gdy inni spali, wstawiała i po kryjomu obrębiała ściereczki, po które zakradła się do kufra matki. I po wielu nocach oddała te ściereczki równo, drobnutkim ścięciem obrębione.

Pomyśleć sobie, co czuło to dziecko, borykające się ze snem przez wiele nocy, by potajemnie w samotności wywalczyć sobie prawo do tego, by jej nie traktowano jako bezużyteczną kalekę, by ją zechciano dopuścić do tego szczęścia, jakim jest praca.

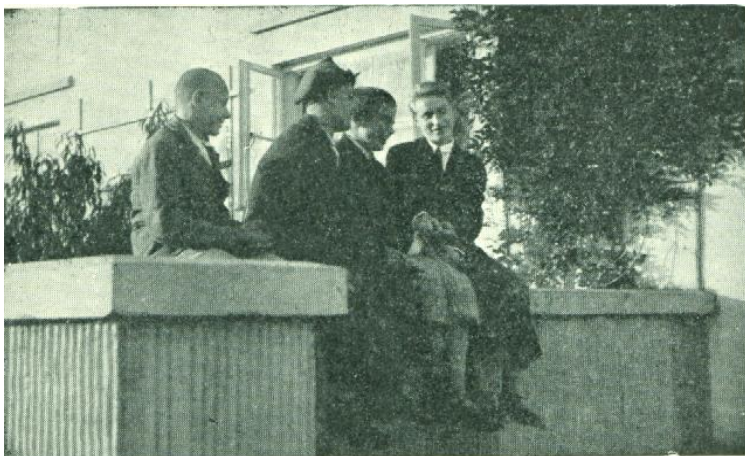
Błogosławieństwo pracy, powszechne dla wszystkich i zawsze, tu, wśród ociemniałych, ma dodatkowe znaczenie. Praca jest to wspaniałe niezastąpione niczym poczucie niezależności osobistej od otoczenia, jest to wydarcie się ze świata stworzonego w świat tworzący. Na tym właśnie polega główny jej czar i to właśnie stanowi treść tej potrzeby, jaką odczuwają ludzie, których pozbawiono pracy.

Brak wzroku pozbawia ociemniałych świata widzialnego. Ale gdybyż tylko tego ich pozbawiał! Pozbawia ich jeszcze i stosunku do nich otoczenia jako do normalnych ludzi. I pozbawia ich często błogosławieństwa pracy. Ręce tylu ociemniałych,

których wpływ Zakładu nie mógł osiągnąć, zbyt często leżą bezwładnie bez ruchu na kolanach, – tak, jakby każda tych rąk para nie była skarbem dla społeczeństwa. A myśli ich nie pokierowane w żaden nurt zainteresowania, trzepoczą i płaczą się bezładnie w ciemności, która nie tylko stanęła przed ociemniałymi oczyma, ale i zaległa opustoszałą duszę. Jak gdyby treść każdej duszy nie była dla społeczeństwa sprawą wagi olbrzymiej. Puste jałowe godziny bez pracy drażą w tej opustoszałej duszy szczeliny, przez które przecisnąć się tak łatwo może zgryzota, czy bunt, czy – rozpacz.

Praca uszczelnia te szpary i puste zeschnięte godziny i dni wyprostowuje litościwie i nanizuje te godziny i dni na mocny, zdrowy nurt życia, jak paciorki na różaniec, różaniec, błogosławiący życie.





Dorastające dziewczęta i chłopcy to zawsze dla nas, dorosłych, przepaść tajemnicza: „Pomiędzy nami leżą wielkie głusze, a droga wiedzie przez dwie przepaści: przez moją duszę i przez twoją duszę”.

Ale głusza ta jest jeszcze trudniejsza do przebycia, jeszcze karkołomniejsza jest droga do przebrnięcia przez te nasze dwie przepaści dwóch naszych dusz, gdy pragniemy zbliżyć się do dorastającej dziewczynki czy dorastającego chłopca, którzy są ociemniali.

Jakie światło wziąć należy w rękę, by nie zbłądzić w tej zawilej drodze i by dojść tam właśnie, gdzie dojść potrzeba: w to zagrożone miejsce, które nie powinno dłużej ani chwili zostawać samotne bez opieki?

„Przez krzyż do nieba” – takie jest powitanie, takie jest hasło, motto życia tych, których tu się wychowuje.

To jest ta lina, której się oni trzymają, pnąc się po tak stromym swym życiu.

Ale wszak w jakiejś chwili potknąć się może ich serce i zgrabieć mogą ręce od tej prawdziwie twardej liny. I w jakiejś chwili strach się może w duszy załęgnać.

Ale Laski wiedzą, jak wielkie niebezpieczeństwo czai się na drodze zwłaszcza tej dorastającej młodzieży. Wiedzą, że właśnie teraz, właśnie w chwili, gdy przekraczają oni próg dzieciństwa, by wejść w młodość, że właśnie teraz największym niebezpieczeństwem jest to pierwsze zatrzepotanie się w nich okaleczających ptaków nieosiągalności.

I Laski wiedzą, że teraz najważniejsze, co można dla tych dzieci – młodzieńców zrobić, to dotrzeć do tych ptaków – potrafić do nich dotrzeć – i wziąć je w mądrą rękę i wyleczyć z ran, zadanych bezpłodnym szamotaniem się, wyleczyć, skierowując je na lot dla nich dostępny.

Ale jakie światło ma zaprowadzić tę rękę leczącą tam właśnie, gdzie jej pomoc jest najpotrzebniejsza?

Laski znają to światło, wiedzą, że jest nim przyjaźń. I umieją zapalić ją tak silnym płomieniem, by w duszach powierzonych im dzieci nie było ciemnych zakamarków, – zakamarków samotności.

Dość już tej ciemności, która te dzieci spowija na zewnątrz. Troską najwyższą wychowawców – ochronić od niej dusze.



Wydaje nam się, że rozumiemy, czym dla ociemniałego jest muzyka. Ale czyż możemy o tym wiedzieć choć w przybliżeniu?

Czyż możemy pojąć, jak wygląda świat, który tylko sterczy twardo lub miękko poddaje się palcom? A nie jest ani miło jasny, ani niepokojąco chmurny, ani wesoło barwny, ani łagodnie przyćmiony – jak wygląda świat bez swych przychylnych czy surowych, ale zawsze nam drogich rysów twarzy? I czyż możemy pojąć, jak wygląda przed oczyma ciemność, która nie może być lada chwila przedarta podniesieniem powiek?

Czyż możemy więc zrozumieć, czym dla ociemniałego jest to, co mu tę pustą ciemność napełnia pięknem i te drogie rysy twarzy świata opowiada, tłumacząc na magiczny język melodii?

Bo choć wydaje się nam nieprawdopodobne, by język barw mógł być na język dźwięków przełożony, to jednak tak jest jakoś miłosiernie świat urządony, że choć te języki są tak różne i tak różnymi słowami do nas przemawiają, to w głębiach duszy, gdzie słów żadnych już nie potrzeba, rozkwita przecucie sensu tych słów. I okazuje się wtedy, że oba te języki, barw i tonów, o tym samym mówiły.

Tylko że świat barw jest dla nas zawsze otwarty; każde zadeszczone jesienne popołudnie to cała symfonia kolorów. A na to, by usłyszeć symfonię dźwięków, a choćby tylko dobrą, nieskłamaną fałszem lub złym instrumentem piosenkę, – na to musi ociemniały jakże długo czekać, z jakimi trudnościami musi walczyć, by dostąpić tego szczęścia. Na to, by pójść na koncert trzeba mieć pieniądze, a głośniki radiowe – i to liche głośniki – są dwa czy trzy na cały wielki Zakład. A grać samemu? Mieć skrzypce? a choćby dobrą harmonijkę? I móc mówić, jeśli nie o świecie widzialnym, którego się nie zna, to o świecie własnych prawd? I temu pragnieniu zadośćuczynić nie mogą Łaski większości ze swych wychowanków. Choć tyle umieją dać z tego, czego zdawało by się dać nie mają możliwości.



Dlaczego, gdy ktoś odchodzi w światło, to patrzącym wydaje się, że oto idzie w świat, że idzie w życie? Czy dlatego, że życie jest to samo, co światło?

Tego właśnie uczą Laski: że życie to światło. I uczą tego właśnie ociemniałych, którzy przecież światła słonecznego nie widzą. Ale widzą oni – i to też mają od Lasek – że światło dzienne nie jest najważniejszym światłem. Że inne jest ważniejsze, to, które jest dostępne dla każdego ociemniałego: „zbroja jasności”, o którą się modlą w Adwencie.

Laski umieją swoich wychowanków ociemniałych nauczyć o tę zbroję dbać, umieją im ją przygotować, by dość silną była ich forteca duchowa na odparcie tego ciosu, który ich czeka: ciosu zrozumienia, że oto świata tak pięknego nie widzą.

